Nr. 8. We Lwowie dnia 19. lutego 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

TEOFILA LENARTOWICZA

POLAK UMIERAJĄCY.

Muzeum Narodowe w Rapperswylu miało w ś. p. Lenartowiczu, gorącego zwolennika i protektora. Życzliwie interesował się on tą instytucją od chwili jej założenia, kierownika jej wspierał radami, a zbiory sztuki zbogacał własnemi pracami rzeźbiarskiemi. W zakładzie tym, na obczyźnie wznoszonym, chciał widzieć pomnik polskiej cywilizacji i samowiedzy narodowej. Dodając własną ręką cegiełkę do tej budowy w postaci dzieł swoich, pragnął zarazem swoje uczucia dla instytucji udzielić całemu kołu artystów polskich i w tym celu ogłosił w r. 1871 broszurę »Do artystów polskich« zachęcając ich w podniosłych słowach do ofiar z prac swoich na rzecz Muzeum.

W roku 1880 złożył on w Muzeum przepiękną rzeźbę własnej roboty: »Polaka umierającego na Syberji. Jest to naturalnej wielkości głowa młodego człowieka, złożona na trójkątnej podstawie. Na twarzy, o rysach wybitnie polskich, maluje się niezmierna boleść człowieka umierającego. Twarz tu jednak nie odstrasza grozą śmierci, szpetotą martwego ciała; twarz to piękna człowieka żywego, a śmierć wyraża się na niej przysłonięciem powiek i rozchyleniem ust, lecz z twarzy tej bije niewypowiedziany smutek męczennika, umierającego z błogosławieństwem, które z chwilą śmierci zastygło na jego obliczu.

Dla uwydatnienia bezwładności ciała artysta umieścił na czole konającego muchę, dla wytłumaczenia zaś okoliczności, w jakich człowiek ten umierał na Syberji, wprawił w ściany marmurowej podstawy dwie sceny w płaskorzeźbie. Jedna z tych scen przedstawia pochód na Sybir tłumu mężczyzn, niewiast i dzieci; druga — tychże Polaków, skrępowanych w kopalni. Z trzeciej strony podstawy znajduje się napis: »Morituri te salutant, patria!«

Rzeźbiarzowi podsunął temat poeta narodowy, który tutaj chciał się posłużyć dłutem w celu usymbolizowania męczeństwa za ojczyznę. Myśl utworu, w sposób symboliczny w rzeźbie wyrażoną, wyłuszczył Lenartowicz w drobnym poemacie prozą, szkicowo narzuconym, a przeznaczonym do odczytania podczas obchodu listopadowego w Rapperswylu w r. 1880. Wolą było poety-rzeźbiarza, aby pismo jego odczytane było publicznie w obliczu »Polaka umierającego«, głośno i zwolna, jakby nad jego grobem.

Pismo to przytaczamy poniżej.

* * *

Nad głową Sybiraka.

Było to w czasie umęczenia ciała i ducha polskiego, kiedy wszystkie ludy, jak jeden, odwróciły się od Polski, jako od ciała, które zgniło i od powieści sto razy słyszanej, i od obowiązku, którego kodeksy nie nakazują, zalecanego jedynie przez Ewangelję — prawo bez powagi.

Było to w czasie, kiedy wiele powiatów tego kraju jęczało dotkniętych gorzej niż trądem, chorobą, o której milczeć jest obyczajem*), roznoszoną przez moskiewskich sołdatów po niegdyś pięknych, moralnych i spokojnych siołach polskich.

*) Czytaj gazety z r. 1876.

Było to w czasie, kiedy lud Polski gromadnie odrywał się od ziemi, usłyszawszy o złotych górach w Ameryce i leciał tam bez żalu, że opuszcza łąki swoje i rolę Ojców, bowiem ojców już i Polaków nie było i nikt nie miał prawa zawołać: Synowie obaczcie się! — tak wszyscy obrócili się, za zyskiem goniąc, a bluźniąc prawie wszystkiemu, co zysku nie przynosi.

Było to w czasie, kiedy na ratuszach, na miejscach splamionych krwią polską, prześladowaniem wolności sławnych, otwierano sale wspaniałe mędrcom polskiego pochodzenia nowej epoki, ku nauczaniu, że skrępowana, bita, uciśniona, palona, strzelana, wieszana, kajdanami na Sybirze brzękająca, rozproszona i gorzej nad to wszystko trądem rozpusty, cynizmu i fałszu dotknięta, Polska jęknąć, zapłakać nie ma prawa i że jęk z pod jej serca, poezja, przynosi jej zniszczenie i śmierć, jak błota indyjskie cholerę.

Było to w czasie, kiedy po kryptach starych świątyń, rozwiewały się kadzidła za dusze świętych Piastów i Jagiellonów, żyjących w chwale wiecznej, za których modlitwa ust grzesznych jest bluźnierstwem.

Było to w czasie klątwy Faryzeuszów na niepodległość i wolność, w czasie Krzywickich, Walewskich, Czajkowskich, Domagalskich, Niewiarowskich, Miniszewskich, Rzewuskich, Skarbków i im podobnych, w czasie braku powietrza piersiom, rozrzewnienia sercu, spoczynku oku, rozweselenia duchowi, w czasie kiedy ręce starców plotły wieńce nagrody za bluźnierstwa przeciwko męczeństwu, w czasie najpodlejszego wyzyskiwania serc narodu przez zgraję odziewającą się gwiaździstym patrjotyzmu płaszczem, w czasie pychy żydowskiej, błazeństwa ulicznego i faryzejskich kwasów, — że przez granicę, którą poznasz w powietrzu, jakbyś widział anioła, który tęczę piór rzucał po miedzach starej Polski przed lat półtysiącem i odleciał, ale światło jego zostało i świeci jeszcze w nurtach Bugu, Dniepru i Dźwiny, szedł konwój wygnańców w strony, w które ani ptak, ani płaz, ani szarańcza nie ciągnie, w te sfery nocy, mroku, śniegów i wichru szli skazani, nad którymi długi bat kozacki świstał, a kopyta konia na stopy następowały, a po drodze na odpoczynek, miasto polskich domów gościnnych, kędy pachniały lipy i miód od ulów, znajdowali otwarte turmy niby przedsionki kopalni czarne, poplamione krwią i cuchnące zgnilizną człowieka i czemś straszniejszem, jak lupanary.

I upadali jeden po drugim, a śnieg dobroczynnie okrywał ich czechłem umarłych. Jednego z takich twarz zapisałem sobie w duszy mojej, ten konał w dniu skwarnym, na skale, oddzielającej jedną połowę świata od drugiej i wołał: pragnę! A kiedy mu brat ostatni pozostały nachylił tykwę, zapłakał, usta otworzył i wyszeptał cicho, ażeby wrogi nie usłyszały: Ojczyzny; a łzy stoczyły się w krater ust jego, jako wody, wracające do oceanu, z którego mgłami wyszły; i w tej chwili mucha, jedna z tych grobowych, usiadła na czoło jego, ale on już nie miał siły odgonić jej i zapuszczała śmierć w krew nieszczęśliwego, jak zwątpienie w niepodległość ojczyzny zapuszczają muchy złote, uczeni nowej epoki, w serca młodzianków polskich.

W ciężkich odetchnieniach oddzielał się duch od ciała nieszczęśliwego i polecał Bogu, a mucha brzęczała jakoby słowa: »Usta twoje ułożyły się w stylu Krasińskiego i Mickiewicza, i Biblji, i Słowackiego i Lammenego, umierasz nieoryginalnie, śmiech — że tobie i brzęk skrzydeł moich na podzwonne«...

Sonet.

Dusza artysty tak, jak rtęć, wrażliwa,
Szybko przelata wzruszeń swoich stopnie,
I raz, gdy marzeń swoich szczytu dopnie,
To się unosi, dumna i szczęśliwa,

To znów, gdy smutków burza się odzywa,
A myśl się rzuci o nurt nieroztropnie —
Szarpie się dusza i cierpi okropnie
I coraz głębiej w wnętrze swe zapływa...

O, ludzie! tylko nie twórzcie narzędzi
Na określanie stanów jej żywiołu,
Bo czy się skupia, czyli w przestrzeń pędzi,
Czyli się wznosi, czy spada do dołu —
Jedna jest tylko miara jej natchnienia:
Płomień miłości lub ciężar cierpienia.

Szczęsna.

LISTY SZWAJCARSKIE.

II.

Odczyt Feliksa Perla o powstaniu Kościuszkowskiem. Znaczenie tego powstania narodowe i rewolucyjne. Którą datę należy święcić? Czy obchód odbędzie się w Solurze czy w Rapperswylu? Góra Kościuszki w pobliżu Fontainebleau. Franciszek Zeltner buduje tam kapliczkę. Moje poszukiwanie góry Kościuszki i śladów kapliczki.

—

Jeden z odczytów, o których pisałem w zeszłym liście, został wydrukowany w londyńskim »Przedświcie« (grudzień, 1893). Jest to odczyt ob. Feliksa Perla, omawiający powstanie Kościuszkowskie z powodu setnei jej rocznicy. Pozwolicie mi przytoczyć ustęp z tego pięknego odczytu, w którym autor streszcza swój pogląd na powstanie 1794 r. »Cechą, która nadaje mu niespożyte znaczenie i która robi z niego najważniejszy objaw rewolucyjny z okresu trzech rozbiorów — powiada autor — jest udział w nim ludu miejskiego i wiejskiego. Po raz to pierwszy lud występuje na scenę dziejową Polski nie jako karjatyda gmachu szlacheckiego, nie jako wydajna siła robocza — ale jako siła rewolucyjna. Po raz to pierwszy powołują lud pod chorągwie, jako obrońcę kraju. W ciemnych, zahukanych, zbiedzonych masach zaczynają upatrywać siłę, która jedynie może przynieść wyzwolenie krajowi. Po raz to pierwszy wionęła karmazynowa chorągiew kosynierów krakowskich z napisem: »Żywią i bronią«. Siermięga Kościuszki — śmiało to można powiedzieć, nie bawiąc się zresztą w sentymentalne zachwyty ckliwych demokratów — siermięga tradycyjna Naczelnika powstania ma głębokie symboliczne znaczenie. Już szlacheckie kontusze przestają zwiastować wyzwolenie kraju, wspaniałe szaty zbyt wiele obryzgało błota. Symbolem odrodzenia staje się szara, niepozorna siermięga tych, co »żywią«, a teraz muszą »bronić« kraju, zaprzedanego przez jaśnie wielmożnych. Właśnie to, ta nowa idea, ten nowy — demokratyczny — czynnik powstania, nadaje mu tak wielką żywotność i tak wielkie znaczenie. Konfederacja Barska jest szlachecką, nawskróś szlachecką z formy i ducha: walka 1792 r. jest kampanją wojskową, w której uwydatniła się cała słabość naszego organizmu państwowego — powstanie Kościuszkowe zdradziło taką żywotność i tak silną zostawiło tradycję, że uwydatniło nowy czynnik, siłę ludu. Powstanie Kościuszkowe — można powiedzieć — to narodziny polityczne ludu polskiego«.

I z drugiego względu powstanie 1794 r. ma ogromne znaczenie, które zresztą i ob. Perl zaznacza. W olbrzymiej walce, która się toczyła w całej Europie pomiędzy nowym i starym porządkiem, ono trzymało wysoko sztandar rewolucyjny. Walka o byt niepodległy narodu zespoliła się z walką o lepszy, doskonalszy ustrój, oparty na zasadach wolności, równości i braterstwa powszechnego. Wróg nawet wczorajszy, zrozumiawszy o co chodziło, stawał się naszym sprzymierzeńcem. Jeńcy rosyjscy, poznawszy naszą sprawę — pisał Nosarzewski do Korespondenta Narodowego i Zagranicznego w Warszawie (N. 86, 28 paźdz.) — »poprzysięgli dzielić z nami swobody, wolności«.

Która więc data jest najodpowiedniejsza dla uroczystego święcenia tej narodowej i rewolucyjnej rocznicy? Czy pierwszy dzień ogłoszenia powstania, 24. marca? Czy dzień 17. kwietnia, w którym lud stołeczny pokazał, jaką potęgą jest rewolucja? Czy wreszcie dzień, w którym Naczelnik narodu przywrócił wolność włościanom, zniósł poddaństwo, dzień 7. maja? W Szwajcarji prawdopodobnie święcić będziemy dzień 17. kwietnia, nie dla tego wszakże byśmy nie uznawali większego rewolucyjnego znaczenia, jakie się należy dniu 7. maja, lecz ze względów miejscowych. Następnie zjawia się pytanie: gdzie święcić rocznicę rewolucji 1794 r., czy w Solurze, czy też w Rapperswylu? Za Solurą przemawia ta ważna okoliczność, że tam mieszkał i umarł Kościuszko, że pamięć o nim jest tam bardzo żywa, że tameczna Rada miejska — ile wiem — zamierza wziąść czynny udział w obchodzie, że na cmentarzu w Zuchwilu, o półgodziny drogi pieszo od Solury, stoi pomnik naczelnemu wodzowi powstania 1794 r. wystawiony? Za Rapperswylem znowu przemawia ta okoliczność, że w tamecznem Polskiem Muzeum nagromadzone są liczne pamiątki po Kościuszce, że jest tam osobna sala Kościuszkowa, ale przedewszystkiem ta okoliczność, że najliczniejsza kolonja polska w Szwajcarji, zurichska, mogłaby gromadnie wziąść udział w obchodzie, ponieważ koszta przejazdu z Zurychu do Rapperswylu i napowrót wynoszą zaledwie kilka franków. Być może jednak bardzo, że święcić będziemy setną rocznicę rewolucji 1794 r. i w Solurze i w Rapperswylu. W takim razie można będzie uczcić i dzień 17. kwietnia i dzień 7. maja.

Kolonja polska w Paryżu zapewne urządzi wycieczkę na Górę Kościuszki w okolicach zamku Berville na południe od Fontainebleau o godzinę niespełna drogi koleją żelazną. Taki przynajmniej był projekt.

W jaki sposób powstała ta nazwa góry? Po powrocie z Ameryki, Kościuszko zaprzyjaźnił się z rodziną szwajcarską Zeltnerów, która mieszkała w Berville'u i tam gospodarstwo rolne prowadziła. Naczelnik nasz przeniósł się do nich na mieszkanie i stał się jakby członkiem ich rodziny. Przechadzając się po lesistych okolicach Berville'u, Kościuszko lubił przesiadywać na górze, którą nazwano jego nazwiskiem. Mieszkał on tam lat kilkanaście aż do czasu, kiedy Zeltner sprzedał Berville i wraz z rodziną wrócił do ojczystej

Solury. Kościuszko wraz z Zeltnerami wyjechał także do Szwajcarji.

Franciszek Zeltner, syn poprzedniego, uczeń Kościuszki, wstąpił do wojska francuskiego, ożenił się z Francuzką i zamieszkał w okolicach Berville'u. Kiedy wybuchło powstanie 1830 roku, został on członkiem francusko-polskiego komitetu, który wszelkiemi środkami wspierał naszą ewolucję, a następnie udał się do Polski i wszedł lo szeregów zbrojnych. Przy oblężeniu Warszawy 6. i 7. września) pełnił służbę przy jenerale Ryńskim, przy czem koń został pod nim zabity, n spadłszy zaś z konia nogę nadwerężył. Za dzielną służbę otrzymał krzyż wojskowy i stopień pułkownika.

Wróciwszy do Francji, Zeltner zajął się wydobywaniem i wywożeniem kamieni, znajdujących się w wielkiej liczbie dokoła góry Kościuszki. Przemysł ten miał powodzenie, i w kamieniołomach Zeltnera okoliczna ludność wiejska znalazła obfity zarobek, a samego przedsiębiorcę pokochała za jego uprzejmość i ludzkość. Złożywszy się więc, kupiła konia wierzchowego i przyszedłszy z muzyką, darowała go Zeltnerowi w dniu ego imienin, 3. października, ponieważ od czasu obrony Warszawy włóczył jedną nogę i chodzić było mu trudno. Zeltner był rozrzewniony, dziękował serdecznie i zaprosił ludność, by na następującą niedzielę na cały dzień przybyła ku górze Kościuszki. Zrana miano sypać kopiec, później miał być bankiet, a wieczorem tańce. Zaprosił na tę uroczystość i Polaków z Paryża. Przybył Czyński, a Leonard Chodźko nadesłał list.

W niedzielę o godzinie 10 z rana ludność z okolicznych wiosek z motykami, taczkami, hakami i koszami, strzelając na wiwat i z muzyką na czele, przybyła na oznaczone miejsce i wzięła się raźnie do pracy. Oczyszczono miejsce, gdzie miano postawić pamiątkową kaplicę. Na bankiecie otworzono składkę dla zebrania potrzebnego funduszu. Później odbywały się gry, wyścigi i wieczorem bal, w którym uczestniczyło 600 osób. Zeltner zapowiedział, że corocznie odbywać się będzie taka uroczystość. Kaplica miała być św. Tadeusza.

To, co opowiedziałem, znajduje się opisane w broszurce francuskiej pod tytułem: »Montagne de Kościuszko, Monument élevé á la mémoire du héros polonais, á Polonia sur Loing, Commune de Montigny, prés Fontainebleau.

Czy kaplica została wybudowana, nie mogłem o tem się dowiedzieć. Wiem tylko, że w późniejszych czasach, Zeltner przeniósł się do Paryża na mieszkanie i że na górze Kościuszki stał jeszcze do niedawna jakiś pomnik. Jak się dowiedziałem o pomniku, opowiem.

(Dok. n.)

Warszawska młodzież uniwersytecka.

W broszurze pod powyższym tytułem, świeżo wydanej w cyklu, objętym ogólną nazwą »Z dzisiejszej doby«, jeden z przedstawicieli młodzieży, omawiając dodatnio i ujemnie świadczące o niej fakty, usiłuje wyjaśnić przyczyny, obniżające umysłowy i etyczny poziom młodzieży zakordonowej. Ustęp ten, jako nader ważny, powtarzamy w dosłownem brzmieniu:

»Bezwarunkowo jedną z najważniejszych przyczyn demoralizacji, jest obecny system gimnazjalny. Nauka oparta jedynie na »odkuwaniu« na pamięć wyjątków z Sumarokowa i Łomonosowa i starożytnych łacińskich i greckich autorów, pedagogja, wroga względem każdego objawu bardziej samodzielnego myślenia, skutecznie wyjaławiają umysły gimnazistów. System ten wciąż się doskonali. Jeszcze przed kilku laty tematy wypracowań rosyjskich były przeważnie t. z. abstrakcyjne np. »O wpływie klimatu na człowieka«, »Monarchja jest lepszą od rzeczypospolitej« itd. Otóż władza zauważyła, że wypracowania te były pisane »sliszkom umno« (sic!) i poleciła przeważnie zadawać tematy z literatury i historji Rosji. Wobec tego nic dziwnego, że młodzieńcy, systematycznie od »umstwowanja« odzwyczajani, odzwyczaili się wogóle myśleć. Jeszcze gorzej się przedstawia wychowanie moralne w gimnazjach. Uległość władzy, obojętne znoszenie moralnych policzków są prawie niezbędne każdemu, jeśli chce gimnazjum skończyć. Koledzy mają obowiązek wzajemnie się pilnować i donosić władzy o każdem przestępstwie przeciw ustawie.

Skutki tego wpływu są tem znaczniejsze, że ziarno padło na dobrze przygotowaną rolę. Wobec wysokiego wpisowego, wprowadzonego od lat kilku w gimnazjach i uniwersytecie, dostęp do zakładów naukowych mają tylko zamożniejsi, czego najlepszym dowodem jest to, że w b. r. ledwie połowa zwykłej liczby na uniwersytet wstąpiła. Są to przeważnie synowie kupców, przemysłowców i lepiej płatnych urzędników, synowie ludzi, przyzwyczajonych do upokorzeń i do poświęcania honoru dla grosza. Ludzie ci wpajali dzieciom uległość dla władz i jako jedyny obowiązek wskazywali zrobienie karjery. — Znaczny też kontyngens uczącej się młodzieży stanowią żydzi, w większości z natury tchórzliwi, z pochodzenia i wychowania do gonitwy za karjerą skłonni, z upodobań i uczuć często wrogo względem społeczeństwa naszego usposobieni. Następnie nasz uniwersytet zaszczycają swą obecnością latorośle arystokracji polskiej, jej klijenci i aspiranci.

Synów ludu, którzy by czuli wrodzoną do obecnych porządków nienawiść, synów mniej i średniozamożnej szlachty, wychowanych w tra-

dycjach walk i marzeń o wolności, mamy coraz mniej; zresztą ci nawet, którzy są, płodzeni przez ojców w epoce skromnych dążeń i poziomych ideałów, w epoce po r. 70, gdy naród zawiedziony i upokorzony wypowiedział wojnę uczuciom i przysięgał na wierność »chłodnemu rozsądkowi i pracy organicznej« są zimni i wyrachowani, jak ludzie tamtej epoki.

Na szczęście są środki, są siły, które mogą złe, wynikające z »obrusitielskiego« sposobu wychowania młodzieży przez urzędowych »djejatieli« i pomagających im rodziców, do pewnego stopnia naprawić. Należy tylko, aby społeczeństwo większą zwróciło uwagę na młodzież gimnazjalną. Konieczne jest stworzenie w Warszawie i na prowincji towarzystw, któreby rozciągnęły opiekę nad moralnością i umysłami młodzieży, któreby przez zakładanie bibljoteczek, urządzanie wykładów zapełniały braki wykształcenia, a przez wpływ osobisty i wskazywanie podnioślejszych celów wyższych uczyły aspiracji. Nie mniejsze też pewno mogliby położyć zasługi ci ze studentów, którzy czują potrzebę podniesienia umysłowego i moralnego młodzieży, gdyby zamiast oddawać się apatycznej pogardzie, chcieli się w rodzaj wileńskiego towarzystwa szubrawców zorganizować, a walcząc satyrą, pociągając zapałem i poświęceniem, w imię haseł sprawiedliwości i wolności, w imię dobra społecznego wystąpili i na szersze koła młodzieży wpływali.

Naród, który chce być wolnym, musi tępić moralność niewolników«.

MÓJ OJCIEC.

Opowiadanie L. K. Lazarevic'a.

(Dokończenie).

Kiedym się zbudził, słońce było wysoko. Czułem jakieś zmęczenie i słabość, ale zasnąć już nie mogłem. Wstałem. Wszystko miało niby świąteczny, a zarazem smutny wygląd. Na dworze zalegała cisza, promienie słońca wpadały przez okno, a przed obrazem drżał jeszcze płomyk, w nocy zatlonej lampki. Matka i siostra były blade jak chusty, ich oczy były wilgotne, a twarze wyglądały niby woskowe: pozałamywały ręce, chodzą na palcach i nic nie mówią, chyba od czasu do czasu, to jedna to druga wyszepce słowa modlitwy.

Nie dano nam śniadania, nie pytano, czyśmy głodni, nie posłała mię matka do szkoły.

— Co to ma znaczyć?... — pytałem w duchu. Czy kto umarł w domu, czy może wrócił stryj nieboszczyk i mają go chować po raz drugi?

Przypomniało mi się jednak zaraz wszystko, co się działo ostatniej nocy i mechanicznie wyszeptałem: »Boże, ratuj ojca!«

Nie myśląc o niczem, ubrałem się i, wyszedłszy, skierowałem się prosto ku drzwiom wielkiej izby, alem się natychmiast zawrócił, bo poczułem na swem ramieniu rękę matki. Nic nie mówiąc, położyła palec na swych ustach, odprowadziła mię do drzwi, wiodących na podwórze i lekko tam popchnęła. Sama wróciła do swego pokoju, ja zaś stałem we drzwiach, nie rozumiejąc, coby to mogło znaczyć.

Zbliżyłem się znów na palcach ku drzwiom wielkiego pokoju i zajrzałem przez dziurkę od klucza.

Patrzę.

Stół stoi na środku pokoju; dokoła niego pozastawiane stołki, kilka z nich przewróconych. Na podłodze zrzucone zmięte karty, zdeptane cygara i stłuczona filiżanka. Z pod jednej karty wygląda dukat. Obrus ściągnięty ze stołu z jednej strony prawie do połowy, na nim porozrzucane karty, poprzewracane filiżanki, pełno popiołu z fajek i kilka próżnych spodków. Stoją jeszcze cztery lichtarze. W jednym z nich dopala się rurka grubego papieru, a czarny dym podnosi się aż pod belkę pułapu.

Na jednym ze stołków, plecami zwrócony ku drzwiom, siedzi mój ojciec. Obie ręce wyciągnął na stół, oparł na nich czoło i nie rusza się. Patrzyłem dość długo, a on ani drgnął. Widziałem tylko, jak ciężko oddychał. Dziwne myśli przelatywały mi przez głowę. Nie wiem zkąd i dlaczego wydało mi się naraz, że ojciec jest nieżywy, tylko się zastanawiałem nad tem, czy może umarły oddychać. Potem uroiło mi się, że ręce ojca są papierowe i że nie będzie już mógł niemi uderzać. Słowem, plotły się jakieś głupstwa. Bóg wie, jak długobym jeszcze stał przy drzwiach, gdybym znowu nie poczuł na sobie ręki matczynej. Nic mi nie powiedziała, tylko wskazała na drzwi swemi łagodnemi oczyma. Sam nie rozumiem po co zdjąłem czapkę, pocałowałem matkę w rękę i wybiegłem na podwórze.

Była to sobota.

Na ulicy, kiedym wyszedł, wszystko się działo jak zawsze. Każdy zajmował się swojem. Wieśniacy powywozili na targ zboże, drób i warzywo. Handlarze zaglądali do wózków i macali jagnięta. Pandur Nowak krzyczał i wyznaczał miejsca, gdzie kto ma stanąć z wozem. Dzieciaki kradły trześnie, lub wspinały się na płoty. Pisarz Sretan chodził po mieście z doboszem i czytał, że się zabrania puszczać świnie na ulicę. Tryfko wydobył z pieca jagnię pieczone i wykrzykiwał: »chodźcie, gorące!« a pijanica Joza babrał się w kałuży.

— Cóż to sklep wasz dziś zamknięty? — spytał mię, przechodząc, krawiec Igniat.

— A zamknięty! — mówię.

— Czy nie chory Dymitry?

— Nie, nie chory.

— Może gdzieś pojechał?

— Na wieś pojechał — odparłem i pobiegłem napowrót do domu. Wkrótce przyszli dwaj moi koledzy, których pan nauczyciel posłał, aby się zapytali matki, dlaczegom nie przyszedł do szkoły. Teraz dopiero się opamiętałem, że rzeczywiście trzeba było iść do szkoły. Biorę książki i kawał chleba, spoglądając to na matkę, to na kolegów.

— Powiedźcie, dzieci, panu nauczycielowi — ozwała się matka — że Misza nie mógł przyjść wcześniej, miał dużo do roboty.

Co się działo w domu podczas mojej nieobecności — nie wiem... czyli właściwie wiem aż nadto dobrze, bo kiedym powrócił, znalazłem wszystko jak przedtem: matka i siostra siedziały z załamanemi rękami. Nikt nie myślał o obiedzie. Dziokica na podwórku przywiązał kotce do ogona mały rondelek i śmiał się serdecznie z jej ucieszpych skoków. Czeladnicy szyli w swej izbie sukmany, a Stojan chrapał na sianie jak o północy.

Ojciec wciąż jeszcze siedział na tem samem miejscu, jak skamieniały. Ciurcze pomarszczyło mu się pod pachami i rozpięło na piersiach od głębokich westchnień. Dawno już i na nieszpory przedzwoniono — a on się nie rusza. Dzień się kończy a w duszy naszej coraz to ciemniej, nieznośniej, straszniej, rozpaczliwiej. Usiadłem na progu domu, trzymając w ręku jakąś szkolną książkę, alem jej nie czytał. W oknie widziałem bladą twarz matki, wspartą na wychudłej ręce. Dzwoniło mi w uszach. Nie mogłem o niczem myśleć.

Wtem skrzypnęły drzwi. Matka znikła z okna. Drgnąłem. Drzwi dużego pokoju otwarły się i na progu stanął on — mój ojciec.

Fez, zsunięty na tył głowy, odsłaniał włosy, spadające mu na wyniosłe czoło. Wąsy obwisły, twarz ściemniała i postarzała. Ale oczy, jakie to były oczy! Ani podobieństwa do tych, które tak świeciły przedtem. Zapadłe w głąb głowy, na pół ukryte pod powiekami, poruszają się powoli, bez blasku, bez myśli, bez wyrazu. Błąkał mu się po twarzy jakiś posępny a łagodny uśmiech, nigdy tego przedtem nie bywało. Tak wyglądał stryj, kiedy przyjmował komunję przed śmiercią.

Odemknął drzwi naszej izby, wsunął weń głowę i, nic nie powiedziawszy, natychmiast ją cofnął. Zamknął drzwi za sobą, wyszedł na ulicę i powoli skierował się ku domowi kmotra Ilji.

Opowiadał mi później Toma, syn Ilji, że ojciec mój z jego ojcem zamknęli się w jednym pokoju i długo o czemś pocichu rozmawiali; przyniesiono im potem papier i atrament, coś pisali, przybijali pieczęcie itd. Ale co to było, tego nikt nie wie i pewnie nigdy się nie dowie.

Około wpół do dziesiątej byliśmy wszyscy w łóżkach, oprócz matki, która siedziała z rękami na kolanach i pustym jakimś wzrokiem patrzyła w płomień świecy. Naraz skrzypnęły wrota. Matka czemprędzej zagasiła świecę i rzuciła się na łóżko. Serce biło mi tak, jak gdyby kto tłukł mi młotem w piersi. Drzwi się odemknęły i wszedł ojciec. Przeszedł się parę razy po pokoju i, nie zapalając światła, rozebrał się i położył.

Długo potem słyszałem jak niespokojnie przewracał się z boku na bok — aż w końcu sam zasnąłem.

Czy długo spałem — nie umiem powiedzieć, lecz gdym się naraz ocknął, uczułem coś wilgotnego na czole. Otwieram powieki i patrzę: miesiąc w pełni zagląda do izby, a jego promienie jak pajęczyny okrywają twarz matki. Oczy ma przymknięte, wygląda jak chora, jej piersi niespokojnie podnoszą się i opadają.

Nad nią stanął ojciec. Wlepił wzrok w śpiącą i nie rusza się. Po chwili zbliżył się do naszego łóżka i zatrzymał nad niem. Raz i drugi powiódł po nas wszystkich oczyma — i wrócił na środek pokoju. Idąc, oglądał się naokoło; po chwili szepnął: »śpią!« i drgnął nagle, przestraszony własnym szeptem. Jakąś chwilę stał, jak wryty.

Nikt z nas nie dawał znaku życia.

Wówczas zbliżył się ostrożnie ku ścianie, gdzie była broń zawieszona i, nie spuszczając z nas oka, zdjął pistolet okuty w srebro, schował go pod połę, nasunął fez na oczy i szybko wysunął się na podwórze. Zaledwie jednak drzwi się za nim zamknęły, a już matka moja podniosła się na łóżku. Za nią zerwała się i siostra.

Szybko, ale ostrożnie wstała matka z posłania i rzuciła się ku drzwiom. Za nią popędziła wnet i siostra — a wszystko to działo się w milczeniu głębokiem.

— Zostań z dziećmi! — szepnęła matka — i wypadła z pokoju. Zeskoczyłem z łóżka i biegłem także ku drzwiom. Siostra schwyciła mię za rękę, alem się jej wyśliznął i rzekłem:

— Zostań z dziećmi!

Kiedym wypadł na podwórze, chyłkiem, po za płotem, pod wiśniami, dopełzłem do studni i przykucnąłem za nią.

Noc była prześliczna. Niebo jasne, księżyc jak brylantowy, powietrze świeże, dokoła cisza...

Spostrzegłem ojca, jak zajrzał przez okno do izby czeladnej i poszedł zaraz dalej. Stanął pod dachem śpichlerza. Wydobył pistolet.

W tejże jednak chwili matka nasza była już przy nim. Ojciec wlepił w nią wzrok, a na jego twarzy malowało się przerażenie.

— Dymitry, panie mój, cóżeśto zamyślił uczynić?

Ojciec drgnął. Spogląda na nią błędnym wzrokiem i rzecze:

— Idź, Maryce, zostaw mię! Jestem zgubiony!

Głos jego brzmiał jak dzwon rozbity.

— Jakto jesteś zgubiony? Bóg z tobą! Jakże coś podobnego mówić możesz?

— Wszystko przegrałem! rzecze ojciec, załamując ręce.

— Cudzegoś nie przegrał. Twoje to było.

Ojciec cofnął się o krok jeden i znowu wpatrzył się w matkę.

— Ależ wszystko przegrałem — wszystko?... rozumiesz? — krzyknął.

— I cóż ztąd? zapyta spokojnie matka.

— Konia nawet!

— Et, zdechlak był — powiada matka.

— I łąkę!...

— Moczary — trzech złotych nikt za nią by nie dał.

Zbliżył się znowu ku matce i wpił się w nią oczyma, jakgdyby chciał przeszyć ją nawskroś.

— I dom... — szepnął.

— Cóż to znaczy, skoro ty żyjesz i zdrów jesteś — odparła matka.

— Maryce! — co ty mówisz?

— Prawdę mówię, Dymitry. Oby tylko Bóg ciebie i dzieci zachował przy zdrowiu! Ani dom nas przecie nie karmił, ani łąka, lecz ty... Nie zaznamy biedy, dopóki ty z nami...

— Maryce — począł — czyżbyś... Lecz nie dokończył i oczy rękawem zakrył.

— Uważ, Dymitry — mówiła dalej matka — kiedyśmy się pobrali, nie mieliśmy nic oprócz odzieży i kilku naczyń. Dziś, dzięki Bogu, mamy dom nie mały.

Widziałem, jak z pod rękawa ojca stoczyło się łez kilka, które błysnęły pod promieniami księżyca.

— Zapomniałeś pewno — ciągnęła matka — że mamy na strychu cały zapas dębianki.

— To prawda — mówi ojciec głosem miękim jak jedwab — pełen strych. Otarł rękawem oczy i spuścił rękę.

— A ten mój łańcuch dukatów, na co mi on? Po co mamy marnować pieniądz? Puśćmy je w obrót... Alboż to my już tacy starzy? Zdrowiśmy, dzięki Bogu i ta dziatwa nasza również zdrowa. Pracować będziemy.

— Jak ludzie uczciwi...

— Jabym nie oddała tych dwojga rąk twoich, za cały kapitał Paranosa.*)

— Dorobimy się znowu własnego domu!

*) Głośny bogacz belgradzki.

— Dzieci wychowamy na uczciwych ludzi — mówi matka.

— Nie będą mi złorzeczyć po mojej śmierci... Ach, jakżem długo ich nie widział!

— Chodź, zobacz je! — i matka wzięła go za rękę, jak małą dziecinę.

W trzy susy byłem już w domu. Ledwiem miał czas szepnąć siostrze: »kładź się czemprędzej do łóżka« i naciągnąć kołdrę na głowę, gdy stanęli oboje na progu. Właśnie w tej samej chwili w cerkwi uderzono we dzwony na jutrznię. I głośno rozległ się ich głos świąteczny wśród cichego poranku, wstrząsając duszę chrześcijańską i jak wiatr odnosi suche gałęzie i liście, tak dźwięki te uroczyste odpędziły daleko nasz ból i smutek...

— Synu, wstań, pójdziemy do cerkwi!...

* * *

Kiedym był zeszłego lata w Belgradzie, widziałem w Topczyderze*) Perę Zelenbacza w ubraniu aresztanckiem. Tłukł kamienie.

Z serbskiego przełożył L. Wasilewski.

Chautauqua.

Chautauqua jestto nazwa jeziora w Ameryce (w stanie New-York), nad brzegiem którego w umyślnie na ten cel zbudowanym gmachu odbywają się w lipcu i sierpniu wykłady ze wszelkich gałęzi wiedzy. Prowadzą je profesorowie uniwersytetów amerykańskich, a prawo uczęszczania na nie przysługuje każdemu, bez żadnego specjalnego egzaminu. Liczba słuchaczów dosięgła w ostatnim roku dziesięciu tysięcy. Obok wykładów z geologji i języka arabskiego mamy tu odczyty o Heine'm i Balzac'u, o fotografji i socjalizmie itp.; prócz tego koncerty, ćwiczenia gimnastyczne, wieczory deklamacyjne etc., słowem, wedle naszych pojęć, zupełną mieszaninę, w której jednakże każdy znajduje to, co mu do gustu przypada. Ciekawą i godną uwagi jednak stroną tej instytucji jest możność kształcenia się, jaką daje ona ludziom mniej zamożnym, rozporządzającym tylko kilkoma tygodniami wolnego czasu w ciągu roku, pochłoniętego w zupełności przez zawodową pracę. Obok tego w swoim rodzaju uniwersytetu istnieje w Chautauqua naukowe biuro centralne, które prowadzi naukę za

*) Ogród królewski, w którym więźnie pracują.

pomocą korespondencji i w ciągu czteroletniego kursu daje swym uczniom, nawet zupełnie nieprzygotowanym profanom, dokładną znajomość głównych zasad danej gałęzi wiedzy. Tą drogą kształci się obecnie już przeszło 25 tysięcy osób.

Jakkolwiek możnaby tym systemom nauczania czynić rozliczne zarzuty w rodzaju powierzchowności itp., to w każdym razie Chautauqua świadczy o pragnieniu wiedzy ogarniającej w Ameryce szerokie masy narodu i zaspakaja tę potrzebę, jak to widać ze spisu osób, czerpiących wiedzę z tego źródła np.: robotników, drobnych kupców, niższych urzędników, a przedewszystkiem kobiet.

Przekłady z języka polskiego.

W Bostonie ukazały się »Nowelle« H. Sienkiewicza w przekładzie angielskim. Jestto zbiorek, zawierający, obok kilku drobniejszych utworów autora »Bez Dogmatu«, »Bartka zwycięzcę«, »Janka Muzykanta« i »Latarnika«. »Pan Wołodyjowski« został wydany po angielsku również w Bostonie. »Balladyna« J. Słowackiego ma być wkrótce wystawiona w »Théatre moderne« paryskim. Miesięcznik włoski »Natura ed arte« zamieścił poezję Szczęsnej »Przysięga Janowi Matejce«. Wychodzące w Düsseldorfie czasopismo »Splitter« podało trzy nowelki Z. Sarneckiego, mianowicie »Sielanka«, »Nastka« i »Wróble« w przekładzie niemieckim Alberta Weissa, który przyswoił już literaturze niemieckiej ogromną ilość utworów polskich. W pismie »Bibliothek der gesammten Literatur« znajdujemy przekład »Lilli Wenedy« J. Słowackiego, dokonany przez Henryka Monata. W Wiedniu wyszła »Hrabina Cosel« J. I. Kraszewskiego po niemiecku. »Deutsche Zeitung« wiedeńska, przyniosła »Brühla« tegoż samego autora w przekładzie Wal. Exnera. »Swoboda« — organ urzędowy bułgarski — zamieściła »Boginię miłości« L. Méyeta, nie zaznaczając wszakże, że jest to utwór, przełożony z polskiego«. »Balladyna« J. Słowackiego w przekładzie Ottokara Mokrego, ukazała się w Pradze jako jeden z najświeższych tomików wydawnictwa »Poesie svetova«. Czeska »Niwa« zamieściła »Śmierć domu« E. Orzeszkowej i »Tylko jeden pług« M. Konopnickiej. W piśmie »Czeska polityka« spotykamy »Kłopoty redaktora« B. Prusa, »Moją cioteczkę« M. Konopnickiej i »Bądź błogosławiona« H. Sienkiewicza. »Hlas Naroda« pomieścił następujące rzeczy polskie: »Co to jest blaga» B. Prusa, »Nad trumną« M. Konopnickiej, »Po dobrym obiedzie» A. Wilczyńskiego, »Zdradziecką piosenkę« Z. Noskowskiego, »Swój znalazł swego« I. Rogosza i »Janka Muzykanta«. »Gwiazdę spadającą« St. Rzętkowskiego podały »Narodni Listy«. W kalendarzu »Zlatej Prahy« na rok 1894 znajduje się »Tęsknota« A. Mickiewicza. W jednym z najświeższych zeszytów »Bibljoteki dla młodzieży« G. Francla ukazało się tłumaczenie czeskie dwóch prac polskich, mianowicie R. Sternala »Opowiadanie o królu Janie Sobieskim« i Czesława Pieniążka »Tadeusz Kościuszko«. Kalendarz »Proświty« podał przekład »Panicza i dziewczyny« A. Mickiewicza. Tamże znajdujemy tłumaczenie pierwszej połowy II. części »Dziadów« A. Mickiewicza, dokonane przez jednego z najwybitniejszych poetów ukraińskich, niedawno zmarłego Wł. Aleksandrowa. »Narodna Czasopyś« wydrukowała »U źródła« H. Sienkiewicza. Ruchliwa firma księgarska Johansona w Kijowie, przystąpiła do wydania rosyjskiego wszystkich pism H. Sienkiewicza; tom pierwszy tego wydawnictwa zawiera »Bez dogmatu« H. Sienkiewicza. »Zwiezda« petersburska zamieściła »Jędzę« E. Orzeszkowej w przekładzie p. A. Sacharowej, której literatura rosyjska zawdzięcza już blisko sześćdziesiąt tomów tłumaczeń z polskiego. W ostatnich czasach p. Sachorowa przełożyła »Emancypantkę« B. Prusa, która się ma wkrótce zjawić w wydaniu oddzielnem. »Żydówka« M. Bałuckiego ukazała się w Moskwie w drugiem wydaniu. Drugiego wydania doczekała się również powieść J. I. Kraszewskiego »Ostap Bondarczuk«; »Kijewlanin« zamieścił w swym odcinku »Burłaja« K. Glińskiego i »Djablicę« M. Bałuckiego. Miesięcznik rosyjski »Nowosti inostrannoj literatury« podał »Bene Nati« E. Orzeszkowej i »Zgodę« B. Prusa. »Russkaja Myśl«, stale zamieszczająca wszystkie utwory H. Sienkiewicza, zapowiedziała druk najnowszej jego powieści »Quo vadis«. W Moskwie wyszedł zbiorek p. t. »Kwiaty wschodnie«, zawierający pomiędzy innymi utworami »Banasiowę«, »Anusię« i »Cioteczkę« M. Konopnickiej w przekładzie S. Szarapowa. Przekłady te były już drukowane w »Russkim Wiestniku«. Monografja L. Krzywickiego »Ludy«, ma niebawem wyjść po rosyjsku nakładem znanej firmy Pawlenkowa. Jak widzimy, Rosjanie nie poprzestają już na przekładach naszych utworów beletrystycznych, ale sięgają już i po dzieła naukowe. Niezbyt dawno np. wyszedł przekład studjum ekonomicznego Z. Heryngo »Rubel« oraz kilka broszur popularno naukowych jak: Sikorskiego »Praca i kapitał«, »Maszyny i koleje żelazne« Olszewskiego i t. d. Na dowód coraz to wzrastającego zaciekawienia się Rosjan literaturą polską może posłużyć odczyt znanego powieściopisarza rosyjskiego P. Boborykina o »Panu Tadeuszu«, wygłoszony w Moskwie, a następnie powtórzony w Petersburgu.

L. W.

Z RUCHU LITERACKIEGO.

Askenazy Szymon. Studja historyczno-krytyczne. (Mably. Polityka encyklopedystów. Z korespondencji pruskiej. Z korespondencji rodzinnej. Paryż przed stu laty. Talleyranda początki. Carlyle. Ranke. Taine). Kraków, 1894, str. 352, złr. 2·80.

Bourde Paweł. Koniec starych czasów. Powieść — przekład Z. Miłkowskiej. — Warszawa, 1894, str. 264, złr. 1·12.

Komornicka Marja. Szkice. Warszawa, 1894, str. 202, złr. 1·26.

Rodziewiczówna Marja. Lew w sieci. — Warszawa, str. 347, złr. 2·10.

Toeppen M. Dr. Wierzenia mazurskie z dodatkiem, zawierającym klechdy i baśnie Mazurów. Z 2-go wydania przełożyła E. Piltzówna (Odbitka z »Wisły«). Warszawa 1893, str. 183.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.